

**Andrzej Paweł Wejland**

*Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ*

## Mój Cekcyn. Fragmenty autobiograficzne

[...] tak wiele dróg prawdziwych i symbolicznych kręci się w głowie. Czy te drogi dobrze nakładają się na siebie?

Franciszek Kamecki, *Podróże i przystanki*

Mój Cekcyn to Cekcyn mojego zapamiętanego wakacyjnego dzieciństwa i wciąż mocno tkwiącej we wspomnieniach wakacyjnej wczesnej młodości. Cekcyn sprzed lat, z każdym wyjazdem coraz dogłębniej wtedy poznawany i coraz namiętniej doświadczany. Cekcyn zatem nie ten co teraz, choć zarazem ten sam, z pewnością jednak „mój”, skoro zajmujący sporą przestrzeń w mojej pamięci i z niezmienną od lat siłą pobudzający do przemieniania jej w opowieść.

Jest co pamiętać i jest o czym opowiadać – zdarzające się dobrze ponad dwadzieścia lat, niekiedy nawet paromiesięczne odwiedziny u mieszkających w Cekcynie przyjaciół naszej rodziny to potężny materiał wspomnieniowy. Owszem, materiał dziurawy jak cała autobiograficzna pamięć, przy doskwierającym (zwłaszcza na stare lata) głodzie wspomnień dający się co prawda z większą szczegółowością i dokładnością odtworzyć, a może tylko zacerować i załatać, czyli dopełnić – bez intencji zmyślenia – narracyjną fikcją. Uspokaja mnie świadomość tego, że wspomnienia naturalnie, z biegiem lat ulegają erozji, że zlewają się w ogólne, schematyczne obrazy i że narracja korzysta z tego, co pamięć zechciała utrwalić i chce nadal przechowywać. Pamięć bowiem, jak to pamięć – tłumaczy Douwe Draaisma – „dysponuje własną wolą. [...] «Wspomnienie – pisze w książce *Rytuály* Cees Nooteboom – jest jak pies, który kładzie się gdzie zechce»”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> D. Draaisma, *Dlaczego życie płynie szybciej, gdy się starzejemy. O pamięci autobiograficznej*, przeł. E. Jusewicz-Kalter, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2006, s. 5, wyróżnienie w oryginale. Źródcytat: C. Nooteboom, *Następna historia. Rytuály*, przeł. Z. Klimaszewska i E. Osuch-Stańczak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1999, s. 107. W sprawie erozji wspomnień i ich zlepiania się – gdy dotyczą powtarzających się zdarzeń i codziennej rutyny – w proste, uogólniające obrazy, por. D. Draaisma, dz. cyt., s. 34–35.

Z naturalnymi pamięciowymi lukami równie naturalna zdolność do opowiadania jakoś sobie radzi: zamiast faktów podstawia pseudofakty, czasem będące prawdziwymi zmyśleniami, czasem zaś niewinnymi konfabulacjami, fikcjami „ulepiającymi” opowiadane historie do postaci logicznych ciągów wydarzeń<sup>2</sup>. Nieźle radzi sobie także z wymiataniem pamięciowych śmieci, to znaczy tego, czego wcale nie chcieliśmy zapamiętać i nie chcemy dalej nosić w pamięci. „Pamięć – jak uzupełnia swoją myśl Draaisma – nic sobie nie robi również z polecenia, aby czegoś n i e przechowywać. [...] w tym wypadku pamięć podobna jest do psa, który machając ogonem aportuje to, co wyrzuciliśmy, pragnąc się tego pozbyć”<sup>3</sup>. Naturalna zdolność formowania opowieści ratuje przed pamięciowymi śmieciami po prostu wymiatając je na narracyjne pobocza, omijając ich złogi w poczuciu nieważności, zbędności czy szkodliwości. Przed wszystkim jednak umacnia w dążeniu do ukształtowania opowieści „dobrze zbudowanej”, czyli logicznej, spójnej, ułożonej w sensowne, dające się zrozumieć sekwencje zdarzeń, rozwijające się bez zważania na impulsy zakłócające, odciągające od jasno i konsekwentnie prowadzącej ku zakończeniu linii narracji<sup>4</sup>.

Mój Cekcyn, mimo że wyłaniający się ze wspomnień, to także Cekcyn widziany w nowy sposób: z nakładającymi się na obraz wspomnieniowy – służącymi analizie i narzucającymi interpretację – pojęciami i koncepcjami antropologicznymi, na tyle, na ile umiem ugruntowanymi w źródłach i opracowaniach (w starym, dobrym sensie) etnograficznych. Tam gdzie pamięć autobiograficzna objawia przykrą pustkę lub tam gdzie wyściela się mrowiem nieuporządkowanych i niespójnych detali, tam z pomocą spieszą właśnie, wzięte od innych badaczy i należące do ogólniejszej antropologicznej wiedzy, hermeneutyczne podwórki: gotowe albo ledwie wymagające adaptacji klisze oglądu i opisu kultury, w szczególności kultury regionalnej. W spojrzeniu na mój Cekcyn pomagają mi więc moje dzisiejsze, niecierpane z dawnych doświadczeń i przeżyć, strategie czysto badawcze.

Pierwsza z nich, ściśle z drugą związana, polega na tym, by własne autobiograficzne wspomnienia uznać za fragmenty i nadać im odpowiednią pisarską formę. Druga zaś na tym, by ze wspomnień tych wydobyć trzy ślady i za nimi w antropologicznym oglądzie i opisie podążać. Z połączenia obu strategii wynika, że mój Cekcyn pojawi się w mojej antropologicznej opowieści we fragmentach, nie zaś w jakiejś holistycznie pojętej całości (jak w antropologicznych monografiach terenowych) i że każdy z nich będzie miał postać myślowo i pisarsko niedomkniętą, szkicową, nieukończoną, bo wciąż otwartą treściowo, gotową

<sup>2</sup> Por. P. Ricoeur, *Du texte à l'action. Essais d'herméneutique II*, Seuil, Paris 1986, s. 20.

<sup>3</sup> D. Draaisma, dz. cyt., s. 5, wyróżnienie w oryginale.

<sup>4</sup> Nawiązuję w ten sposób do znanych ustaleń dotyczących uniwersalnych zasad organizujących w opowieści narracyjną rzeczywistość, por. J. Bruner, *Narracyjna konstrukcja rzeczywistości*, [w:] tegoż, *Kultura edukacji*, przeł. T. Brzostowska-Tereszkiewicz, Universitas, Kraków 2006, s. 181–208.

na dopełnienia płynące z rozbudzonej albo i wskrzeszonej pamięci<sup>5</sup>. Ślady, za którymi pragnę w tej opowieści podążać, będą pretekstami i pre-tekstami jednocześnie – okazjami do antropologicznych komentarzy opartych na źródłach i opracowaniach etnograficznych oraz załączkami wielowątkowych, bardziej rozbudowanych wspomnieniowych historii<sup>6</sup>.

Mój Cękcyń to wieś w Borach Tucholskich, historycznym siedlisku mających swoją gwarę Borowiaków. Każdy z trzech śladów będzie się zatem odnosił do Cękcyńa borowiackiego i zyska – charakterystyczną dla mowy tych, z którymi w Cękcyńie przez lata spletały się moje życiowe ścieżki – nalepkę wziętą z borowiackiej gwary. Borowiacka gwara będzie się zresztą pojawiać i dalej, w głębi każdej z trzech autobiograficznych mikroopowieści.

## 1. Bronusiowe szwele

Nie wiem, ile miałem lat, gdy zrozumiałem, gdzie zaczynają się Bory Tucholskie – gdzie zaczynają się, prawdę mówiąc, dla mnie. Za Wierzchucinem pociągi – te ciągnięte najpierw przez lokomotywy parowe, a dopiero później przez spalinowe – wjeżdżały w leśny tunel. Czekałem wtedy niecierpliwie na zawsze ten sam mieszany chór: szum lasu, roznoszący się po nim dalekim echem stukot kół wagonów i świst wiatru wdzierającego się przez do połowy otwarte okna. Chór milkł, kiedy pociąg, minąwszy przystanek w Wierzchucinie Starym, wytaczał się z leśnej gęstwiny na bezdrzewną goliznę. Po kilku minutach trzeba było wysiadać, zwykle z lewej strony od kierunku jazdy (pociąg zatrzymywał się

<sup>5</sup> W sprawie antropologicznych monografii terenowych, por. J. Lutyński, *Antropologiczna monografia terenowa i badania społeczno-kulturowych przeobrażeń w Polsce*, [w:] tegoż, *Metody badań społecznych. Wybrane zagadnienia*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1994, s. 292–307. Terminu „fragment”, a także terminu „fragment antropologiczny” używam w nawiązaniu do znaczenia, jakie mają nazwy „fragment” lub „fragment literacki”, por. M. Głowiński, *Fragment*, [w:] *Słownik terminów literackich*, pod red. J. Sławińskiego, Ossolineum, Wrocław 2000, s. 165–166; M. Konarzewska, *Fragment*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, pod red. G. Gazdy i S. Tyneckiej-Makowskiej, Universitas, Kraków 2006, s. 261–263; G. Świtek, *Writing on Fragments. Philosophy, Architecture, and Horizons of Modernity*, Warsaw University Press, Warsaw 2009.

<sup>6</sup> Figura myślowego i pisarskiego podążania jest przede mną odnieszona do własnych autobiograficznych wspomnień i własnych antropologicznych metakomentarzy do nich. Inaczej dzieje się wtedy, gdy antropolog podąża po cudzych śladach, choćby po śladach odnalezionych w czyjejś twórczości literackiej, jak to zdarza się np. u Marty E. Savigliano, tworzącej kompozycyjne zręby swojego antropologicznego czy też etnograficznego nokturnu o miłogach w Buenos Aires opisanych w jednym z opowiadań Julio Cortáзара, por. A. P. Wejland, *Miasto nocą. O poetyce nokturnu antropologicznego*, [w:] *Antropolog w mieście i o mieście*, pod red. G. E. Karpińskiej, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław–Łódź 2012 („Łódzkie Studia Etnograficzne”, tom LI), s. 155–164.

tu na chwilę, by zaraz ruszyć dalej, ku Tucholi). Na stacji kolejowej w Cekcynie ktoś zawsze na nas czekał – w pierwszych latach zwykle na mamę i na mnie, w późniejszym czasie i na mnie samego. Tam, jak mi ona opowiadała, Bronusia chwycił od razu za rękę i nakazałem prowadzić się do domu. Po całodziennym lub całonocnym podróży byłem najwyraźniej zmęczony, mama przecież także. Bronuś posadził mnie wtedy – to wciąż relacja mamy – na swoim ramieniu i przytulił. Tak zaczęła się nasza serdeczna znajomość. Miałem dwa i pół roku. Jak przez mgłę pamiętam (albo mi się tak tylko wydaje i całą historię znam jedynie z rodzinnych opowieści), że z początku raz czy dwa jechaliśmy pożyczoną furmanką, dookoła, drogą. Potem już, taszcząc bagaże, szliśmy pieszo, od stacji wzdłuż torów wprost do domu Bronusia, czyli Bronisława Porożyńskiego i jego żony, Helenki.

Tuż za stacją mijało się Jaśtakowy tartak – w dali niewysokie budynki, a przy torach sterty równo ułożonych drewnianych, chyba głównie sosnowych (bo sosen jest w Borach najwięcej) drągów i pali, stosy desek i kupki poskręcanych wiórów. To był tartak nie byle jaki, wówczas chyba jeszcze parowy, sprzed wojny. Założył go na długo przed nią, bo w 1923 roku, Jakub Jaśtak. W jednym z numerów „Słowa Pomorskiego” z 1935 roku znalazłem ogłoszenie tak reklamujące usługi firmy: „Deski sosnowe, suche odziemk. i środkowe 23 mm po 58,- zł, boki bezięcne 58,- zł za 1 m<sup>3</sup>, deski podłogowe 30 mm heblow. I szpuntowane [...] Także kompl. budowle stodół, chlewy itd. poleca Jakób Jaśtak, tartak parowy, Cekcyn, pow. Tuchola.”<sup>7</sup>

Po okrążeniu posterunku nastawczego i paru jeszcze krokach trzeba było zejść ku podmokłej, pełnej tataraku łące, obejść ją, sapiąc wdrapać się pod górę – i już. Niedaleko torów stał ich dom. Bronuś i Helenka (nazywaliśmy ich na co dzień bardziej intymnie) poznali się w czasie wojny, wywiezieni do Niemiec na przymusowe roboty. Pracowali u bauerów w sąsiednich wsiach. Ona – łodzianka, wykształcona ponadprzeciętnie jak na ów czas i owo miejsce, przystojna, ciemnowłosa, on – Tucholski Borowiak o roześmianych oczach, wąsko przyciętych, ale bujnych wąsach (po każdym goleniu starannie czesanych), krępy, a nawet – przy niewielkim wzroście – potężny. Kiedy on zakochał się w niej na zabój,

<sup>7</sup> „Słowo Pomorskie” z 7 września 1935, nr 206, s. 10 (słowo „bezięcne” powinno być zapewne zapisane jako „bezsęcne”, czyli pozbawione sęków). Pamięć mnie jednak nie myliła: to byli Jaśtakowie, nie zaś Jastakowie, jak utrzymywał na swej stronie internetowej „Tartak Heban” i nadal utrzymuje, już jako „Heban – Domy z drewna”, obecny dziś w tym miejscu, por. <http://heban.las.pl/pl/historia.htm> [dostęp: 26.02.2012] oraz <http://www.domyheban.pl> [dostęp: 11.06.2014]. Znałem przecież ich rodzinę, może wprawdzie niezbyt blisko, ale jednak bez pomyłki co do brzmienia nazwiska. Upewniła mnie w tym jeszcze oficjalna notka umieszczona w „Dzienniku Urzędowym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy” z 1 marca 1951, nr 5, s. 28, zapowiadająca sporządzenie protokołu zdawczo-odbiorczego w przejętym na własność państwa przedsiębiorstwie: „Tartak – Cekcyn, pow. Tuchola, właściciel Jaśtak Jakub.” <http://jbc.bj.uj.edu.pl/libra/publication?id=77389&tab=3> [dostęp: 26.02.2012].

a ona rozumiała, że nikt inny nie zapewni jej w życiu tak solidnego jak on oparcia (nasłuchałem się o tym opowieści co niemiara), zjawili się tutaj i pobrali, bodaj w cekcyńskim kościele. Dom był ich i nie ich, jak często powtarzali, dlatego w jakieś dziesięć lat później zaczęli niedaleko budować drugi, już naprawdę własny, swój. Ten stary był domem poniemieckim, murowanym, z czerwonej, poszarzałej przez lata cegły, trochę skruszały, pod oknami sypiący się, naprawiany. Naprzeciw niego (obejście tworzyło zamknięty prostokąt) znajdowała się równie sfatygowana, otwierana na dwie strony stodoła, za nią zaś był kawałek pola. Dom nie był więc borowiacką chatą. Żeby zobaczyć prawdziwą, borowiacką, drewnianą chałupę wystarczyło jednak wybrać się do matki Bronusia, która wraz z jego młodszą siostrą, Wandą, mieszkała w odległych o parę kilometrów Budziskach Wielkich (jazdę na ramie albo na bagażniku Bronusiowego roweru niełatwo wymazać z pamięci).

W ich domu więcej było zresztą łódzkich, Helenkowych zwyczajów, niż tego, co borowiackie. Z jednym przecież istotnym wyjątkiem: Bronuś, chociaż uczony przez Helenkę „poprawnego języka”, mówił po swojemu, borowiacką gwarą. Nigdy nie uznał jej za coś gorszego, wdrażał mnie więc najpierw w tutejsze słownictwo – w pojedyncze, dziwnie dla mnie brzmiące słowa, potem również w bardziej złożone wyrażenia. Nauka zaczęła się całkiem naturalnie od *jo*, znanego wszakże i w innych regionach Polski zniekształcenia niemieckiego „ja”, czyli „tak”.

Sięgam do opracowań etnograficznych i podpieram się objaśnieniami dialektologów. O Borowiakach w 1904 roku Jan Karłowicz tak pisał: „Na wschód [od Krajny] leży tak zwana Puszcza Tucholska, duży czworobok pomiędzy Tucholą, Koronowem (Polnisch Krone), Świeciem i Starogardem; zamieszkują go Borowiacy, inaczej zwani Borakami albo Borusami. Ludność to choć uboga, ale pracowita i przemyślna, osiadła na gruntach piaszczystych, porośniętych wielkimi lasami sosnowymi, wśród których dość rzadkie wsie ludowi polskiemu dają przytułek.”. W nieco ponad dwadzieścia lat później u Jana Stanisława Bystronia można było wyczytać, że Borowiacy Tucholscy to – w obrębie pierwotnej grupy Pomorzan – pośrednia grupa leśna, w parę lat potem Adam Fiszer powtarzał jeszcze za Karłowiczem i Bystroniem: „Na obszar pomorski działały dość silnie wpływy wielkopolskie i kujawskie i wytwarzały pewne grupy przejściowe. Pod wpływem wielkopolskim kształtowała się grupa Borowiaków tucholskich, osiadłych w puszczy Tucholskiej między Tucholą, Koronowem, Świeciem i Starogardem. [...] Borowiacy są grupą przejściową [...]” Całkiem współcześnie Janusz Kamocki tłumaczył zaś: „Puszczę Tucholską zamieszkują Borowiacy, uboga grupa leśna, pozostająca pod silnym wpływem Wielkopolski i Kujaw (wg innej teorii – przeciwnie, jest to skaszubizowana grupa wielkopolska) [...]”<sup>8</sup>.

<sup>8</sup> J. Karłowicz, Lud. Rys ludoznawstwa polskiego, Wydawnictwo Macierzy Polskiej, Lwów 1904 („Polska. Obrazy i opisy”, z. 1–2), s. 154; J. S. Bystron, Ugrupowanie etniczne ludu polskiego = Les groupes ethnographiques polonais, Księgarnia Geograficzna „Orbis”, Kra-

Koncepcja „pośredniości” pojawiła się równolegle w pracach językoznawców poświęconych gwarze borowiackiej lub borowiackiemu dialektowi. Kazimierz Nitsch wewnątrz dialektów pomorskich odnajdował dialekt Borów Tucholskich, czyli dialekt borowiacki, przez jego następców jasno już zaliczany do gwar przejściowych między dialektem wielkopolskim i kaszubskim. „Gwara Borów Tucholskich, czyli gwara tucholska, albo inaczej borowiacka – czytamy u Haliny Karaś – jest zaliczana do szeroko rozumianego dialektu (zespołu dialektalnego) wielkopolskiego [...]. Wraz z Krajną i Kociewiem stanowi obszar przejściowy między Wielkopolską i Kaszubami. Jej granice wytyczył na początku XX wieku Kazimierz Nitsch, który preferował określenie gwara tucholska (dialekt tucholski) niż borowiacka z tego względu, iż część Borów językowo należy do Kociewia, a z kolei część mieszkańców Krajny używa gwary tucholskiej [...]. Obecnie popularniejszym określeniem jest gwara borowiacka z uwagi na fakt, że przymiotnik tucholski mógłby sugerować, że chodzi tylko o gwarę miasta – Tucholi lub powiatu tucholskiego [...]”<sup>9</sup>. Na tle tych ustaleń trochę łatwiej pojąć, skąd dialektolodzy wywodzą samą nazwę Cękyn, z podkreśleniem, że chodzić może i o Cękyn Polski (Polnisch Cekzin) – ten, o którym tu opowiadam, i o Cękyn Niemiecki (Deutsch Cekzin, Ciechocin), leżący na północ i zachód od Tucholi na terenie historycznej Kosznajderii, to znaczy bliżej Chojnic<sup>10</sup>.

Wyjść z sieni i skierować się w prawo to natrafić na furtkę do ogrodu. Nie było i nie ma nigdzie na świecie ogrodu piękniejszego niż ten, zapamiętany ogród mojego dzieciństwa. Wydawał mi się ogromny, choć zapewne taki nie był (i nie jest, bo wiem, że wciąż tam oddycha za drewnianym płotem). Jedna głów-

---

ków–Cracovie 1925 („Krakowskie Odczyty Geograficzne” nr 2), s. 20; A. Fiszer, Etnografia słowiańska, z. 3: Polacy, Książnica–Atlas, Lwów–Warszawa 1934, s. 124; J. Kamocki, Zarys grup etnograficznych w Polsce, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 1991/1992, vol. XLVI/XLVII, 6, s. 121. Por. także M. Polakiewicz, Z etnografii powiatu tucholskiego, [w:] Tuchola. Zarys monograficzny, pod red. J. Wojtowicza, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 1962 („Prace Popularnonaukowe” nr 3), s. 121–160.

<sup>9</sup> H. Karaś, Gwary borowiackie jako typ gwar przejściowych, [w:] Gwary polskie. Przewodnik multimedialny, pod red. tejże, [http://www.gwarypolskie.uw.edu.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=373&Itemid=17&fite=1](http://www.gwarypolskie.uw.edu.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=373&Itemid=17&fite=1) [dostęp: 22.02.2014]. Por. K. Nitsch, Dialekt tucholski, [w:] tegoż, Wybór pism polonistycznych, t. III: Pisma pomoroznawcze, Ossolineum, Wrocław–Kraków 1954, s. 120–145; H. Karaś, Gwara Borów Tucholskich – granice, stan badań, charakterystyka, [w:] Dialekty i gwary polskie. Kompendium internetowe, pod red. tejże, <http://www.dialektologia.uw.edu.pl/index.php?l1=opisdialektow&l2=dialekt-wielkopolski&l3=bory-tucholskie&l4=bory-tucholskie-gwara-regionu-mwr> [dostęp: 22.02.2014]; K. Handke, Terytorialne odmiany polszczyzny, [w:] Współczesny język polski, pod red. J. Bartmińskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2001, s. 201–221, zwłaszcza s. 202 (mapa) oraz 210–211.

<sup>10</sup> K. Nitsch, „Gostycyn” i „Cękyn”, „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1912, R. 19, s. 129–136; L. Zabrocki, Gostycyn i Cękyn, [w:] „Slavia Occidentalis”, t. XI, pod red. M. Rudnickiego, Wydawnictwo G. Gebethner i Wolff, Poznań 1932, s. 72–80.

na, szeroka ścieżka i wiele ścieżek poprzecznych, uporządkowane warzywne grządki i kwiatowe rabaty. I przede wszystkim owocowe drzewa, w większości wiśnie – to ze względu na nie mama mówiła, że przekracza granicę wiśniowego sadu. Któregoś lata czekała mnie w nim niespodzianka: zbudowana przez Bronusia ze *szweli* huśtawka, z drewnianym krzeselkiem na wahadle ze stalowych sznurów. Bałem się jej co nieco, lecz ośmielony przez Bronusia zacząłem wywijając nogami i bując się pod niebo. *Gzub na huźdawce*, z każdym wzbiciem się ponad wiśniowe drzewa wykrzykujący słowa zachwytu. *Szwele* to drewniane podkłady kolejowe, czasem pościnane od góry wzdłuż długich boków, brunatne albo i prawie czarne, nasączone konserwującymi smarami i przez to wydzielające niemiłą woń. Pół godziny bujania się to było wszystko, na co mi Bronuś pozwalał: *Bo te szwele zdrowia nie dawajo*.

By zrobić huśtawkę, musiał Bronuś *szwele* tu i tam przyciąć *żagą*, czyli piłą. Lubiłem obserwować jak pracował. Był niewyobrażalnie silny i zręczny. *Szwele* posłużyły mu również do zbudowania przestronnej szopy, kurnika i po części wychodka, wciśniętego między stodołę i płot od ogrodu. Miał ich dużo, tych zużytych, na kolei niepotrzebnych, leżały na podwórzu w stercie obok psiej budy.

Przez pierwsze powojenne lata Bronuś pracował przy naprawie torów i dostawał – jak inni robotnicy kolejowi – jakiś „deputat szwelowy”. Parę ładnych lat upłynęło, zanim przeniesiono go do innej pracy. Na przystanku w Wierzchucinie Starym był (tak, jak przypuszczam, nazywa się ta funkcja) dróżnikiem przejazdowym, takim jednak, co i bilety, jak trzeba było, na pociągi sprzedawał (nie wszystkie się tam zatrzymywały), nie tylko więc zamykał szlabany i wychodził z chorągiewką na peron, gdy *cuk* przejeżdżał albo się nawet zatrzymywał. *Bana*, czyli *banhof*, wprawdzie niewielki, wymagał też starannego sprzątnia. Z Cekcyna do Wierzchucina Starego pociągami podróżowało się co najwyżej pięć minut, ale Bronuś zawsze jechał do pracy rowerem. Z klamerkami u eleganckich, na kant wyprasowanych kolejarских spodni, w mundurze i zdobnej czapce prezentował się znakomicie, a prezentowałby się lepiej, gdyby nie sam rower – wysłużony, stale reperowany i malowany, z grubymi, ciężkimi oponami i wciąż w nich gasnącymi, łątanymi gumowymi dętkami. Zaraz po wojnie, ale i długo potem, rower był tutaj sprzętem niezbędnym – i dla dojeżdżających do pracy, i dla zagląających do sklepu, i dla wybierających się na randkę. Do Wierzchucina Starego i z powrotem Bronuś pedałowal przez las, pomału, bo nie umiał się spieszyć i w ogóle czas odczuwał inaczej, osobliwie. Bywało jednak, że z ostrożnym pośpiechem, a nawet w te pędy, gdy ruszały za nim *dzikie świny*. O spotkaniach z nimi nie tyle lubił, ile musiał opowiadać, by przed dzikami ostrzec nas, głównie „Nowicuszkę”, matkę Helenki i mnie, wybierających się często do lasu na grzyby albo jagody. Bór był ich pełen każdego lata i każdej jesieni.

Z grzybów najlepsze były rydze, przyrządzane wcale nie po borowiacku, także *maślaki* i zielone, spod mchu i igliwia wyłuskiwane gąski – grzyby na zupe. Ale najczęściej były nimi *kurzejki*, przyrządzane z gęstą, pełną skwierczącego jeszcze boczką jajeczną. Wypadało prócz tego w lesie uważać na to, by nieopatrzenie nie wkroczyć na schowany tuż przy torach, dla nietutejszego oka prawie niewidoczny, zaniedbany i zapomniany niemiecki *kirchof* – tam się grzybów nie zbierało, nawet gdy koszyk był pusty<sup>11</sup>.

Świeżo po wybudowaniu nowego domu – tego „swojego” – i urzędzeniu przy nim gospodarstwa, z ogródkiem zamiast ogrodu, Bronuś kupił konia. Klacz miała złotą sierść i piękne oczy, była mądra, łagodna i pozwalała mi na sobie jeździć, przy asekuracji zapewnianej przez Bronusia. Skręcała za dotknięciem dłoni albo za lekkim pociągnięciem lejców, gdy była zaprzęzona do zwykłego wozu z kołami na metalowych obręczach albo wozu drabiniastego, wypełnionego po brzegi sianem czy snopkami żyta. Helenka tłumaczyła, że tak naprawdę koń im nie jest potrzebny, bo gospodarstwo zbyt małe. Ale jeśli Bronuś chce go mieć... Kochał pracować na roli bardziej niż na kolei. Kochał ziemię i wszystko, co ziemia człowiekowi daje. Był świetnym kosiarzem, często zapraszany przez sąsiadów do pomocy przy żniwach. Siadaliśmy wtedy na podwórzu, a on na *babce*, czyli kowadełku, popluwając od czasu do czasu na metalowy młotek z jego węższej strony, klepał długimi godzinami swoją kosę. Miał ponadto pamiętkowy, po ojcu, podniszczony drewniany *strychołek*, przygotowany do jej ostrzenia podczas koszenia, oraz obłą, z piaskowca zrobioną osełkę. Zadziwiał mnie umiejętnym stawianiem *szytg*, a w zdumienie wprawiał – z jakim szacunkiem dziś o tym myślę! – zbieraniem kłosów z ledwo ściętego ścierniska. Helenka zajmowała się ogrodem i na starym, i na nowym gospodarstwie, ale w poważniejszych i cięższych pracach Bronuś jej zawsze pomagał, zwłaszcza przy pieleniu grządek z perzu czy skrzypu, wymagającym klęczenia przez długie minuty. *Haka* w jego rękach śmigała, kiedy na polu oczyszczał z chwastów rzędy kartofli. Gdy w Cerkynie masowo pojawiła się stonka (był rok 1959), zbieraliśmy ją, chrząszcze i larwy, do butelek i słoików (owadobójcze DDT nie przypa- dło mu nigdy do gustu)<sup>12</sup>.

Uczył mnie wszystkiego i do wszystkiego, co robił, zapraszał: jeździliśmy na ryby (najpierw rowerem, a później na motorze), do kuźni, gdzie przesiadywał, czasem w milczeniu, całymi godzinami, a mnie okropnie się nudziło, chyba że kowal szykował akurat coś bardziej wyjątkowego niż podkowę dla konia. Był tradycjonalistą w poglądach i zachowaniu. Z nowoczesnej techniki korzystał,

<sup>11</sup> Ten, pochodzący z drugiej połowy XIX wieku i służący pochówkom jeszcze do połowy następnego wieku, cmentarz ewangelicki między Cerkynem a Lubińskiem, odnowiono i uroczyście przywrócono lokalnej pamięci dopiero we wrześniu 2010 roku, por. *Kalendarium Historyczne Gminy Cerkyn*, <http://www.cekcyn.pl/index.php/gmina/historia> [dostęp: 22.02.2014].

<sup>12</sup> Co do czasu pojawienia się stonki w Cerkynie, por. tamże.



lecz z umiarem, uznając, iż stare sposoby życia i pracy zupełnie wystarczają. *I ładnie to tak strzelać Panu Bogu w okno?* Nie, że niecelnie, ale dlatego, że to Pana Boga obraża i w ogóle jest niemożliwe. Usłyszałem od niego te słowa chyba w lecie 1958 roku, w parę miesięcy po wystrzeleniu pierwszego sputnika, albo wkrótce potem, po wystrzeleniu następnych sputników, zwłaszcza tego z Łajką. Nigdy nie przyjął do wiadomości, że to może być prawda. Bo poza tym co taki *knap* jak ja ze szkół wie? Tylko to, co mu wmówią. A on *ajnfach* we wszystko wierzy.

## 2. *Walcerek Mańka Górki*

Z Cekcyzna do Tucholi lub z powrotem jedzie się koleją dziesięć, może jedenaście minut. To czas dostateczny, by po drodze do pracy bądź z pracy, w znanym gronie lub z nieznanymi, ale znającymi się na rzeczy, rozegrać kilka partii (rund czy też rozdań) *baški*. Wystarczy wyciągnąć talię kart i z kieszeni – przy grze na serio – parę groszy. Nie rozumiejąc jej zbyt, przypatrywałem się grającym. Na rozłożonej teczce albo torbie, czy wprost na desce drewnianego siedzenia, lekko w bok przechyleni albo pochyleni (pamiętam chyba samych mężczyzn), wykonywali coś w rodzaju, oddzielającego ich od reszty jadących, tańca na siedząco, w krótkich dialogach objaśniając sobie przebieg błyskawicznych rozgrywek. Z drobną przesadą antropolog obserwator, siedzący naprzeciw lub obok nich i chcący wynieść pożytek z lektury prac Ervinga Goffmana, opisałby to, w czym uczestniczy, jako codzienną interakcję zogniskowaną, to zaś co widzi mógłby uznać za codzienny rytuał interakcyjny<sup>13</sup>.

Jako dzieciak umiałem jedynie dostrzec ich zaangażowanie w grę i jakby zamknięcie się w kapsule czasu. Konduktor, znający ich wszystkich, tej kapsuły nie rozrywał, tylko ode mnie domagał się okazania biletu. Helenka, z którą odbywałem wyprawy do Tucholi (pracowała tam na poważnym urzędowym stanowisku), jedynie się wtedy do mnie porozumiewawczo uśmiechała. *Baška* któregoś lata przywędrowała jednak wprost do ich nowego domu. Gdy w sobotnie popołudnie zaczęli tam przybywać bliźsi i dalsi sąsiedzi, stół w przestronnej kuchni, zazwyczaj stojący pod oknem, odsunięto prawie na środek i obstawiono krzesłami. Już przy świetle elektrycznym (na cekcyńskich wybudowaniach po-

<sup>13</sup> E. Goffman, *Zachowanie w miejscach publicznych. O społecznej organizacji zgromadzeń*, przeł. O. Siara, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 16–35, 91–164; Y. Winkin, *Antropologia komunikacji. Od teorii do badań terenowych*, przeł. A. Karpowicz, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007, s. 89–101, 132–145.

jawiło się ono w 1962 roku) zaczął się – czy tylko dla mnie, siedzącego tymczasem z boku? – pyszny kulturowy spektakl<sup>14</sup>.

Baškę opisuje się jako tradycyjną kaszubską grę karcianą, dodając od razu, iż znana jest również (niekiedy po inną nazwą) poza obszarem Kaszub – na całym Pomorzu, w Wielkopolsce (tutaj jako *kop*) i na Śląsku. Grają w nią zwykle cztery osoby, aczkolwiek grać można także we dwie albo trzy. Gra jest szybka. „Jedna runda nie trwa zwykle dłużej niż minutę. Talia do gry w *baškę* składa się z szesnastu kart i każdy z graczy otrzymuje ich tylko cztery. Rozdanie składa się z dwóch faz: licytacji (rajcowania) i rozgrywki. W wyniku licytacji ustalany jest rodzaj gry i strony – podział na *starych* (lub pojedynczego *starego*) i przeciwnych im *młodych*, czasem ujawniany dopiero w trakcie rozgrywki. Rozgrywka i rozliczenie gry uzależnione są od rodzaju gry: *zwykła*, *wesele*, *cicha*, *gran*, *zolo*, *gran-doux*, *zolo-doux*, *baška*. [...] Wygrywają gracze lub gracz, którym uda się uzyskać łącznie 53 punkty w przypadku *starych* lub 52 punkty w przypadku *młodych*. Poza tym podczas gry padają najprzeróżniejsze odzywki i terminy: *trumfy*, *fele*, *boki* [...], *kontry* i *rekontry*, których znaczenie pojąć mogą jedynie grający. [...] Rozliczenia w *baškę* odbywają się pieniędzmi. [...] W latach 60-tych XX wieku stawkę pieniężną 50 gr. za *zolo* określano *stawką kolejarską*”<sup>15</sup>.

Z ciekawością obserwowałem wszystkich graczy przy stole, dostrzegając pośród nich pewnych siebie ekspertów i udających skromność nowicjuszy – jedni i drudzy, inaczej niż gracze zapamiętani z pociągu, zachowywali radosny dystans do gry. A może tylko jeden z nich, właśnie poznany Maniek Górka? Był mniej więcej moim rówieśnikiem, synem *gbura*, zamożnego chłopca z torów, grą w *baškę* – właśnie grą – bawiącym się jak własnym teatralnym występem. Tym razem to Maniek rzucał mi porozumiewawcze spojrzenia i tak słowami oraz gestami manewrował, by nawet po nieudanej licytacji albo przegranej rozgrywce wciąż promienieć uśmiechem i prawie skakać z ucieshy. Gdy sam niebawem włączyłem się do gry, Maniek jeszcze podkręcił zabawowe tony, zauważył bowiem, że wprawdzie z innymi gram w karty, lecz wcale nie jestem łasy na wygraną (taki ze mnie gracz niegracz). Kiedy Maniek, urzeczony moją pozorowaną bezradnością, wykrzykiwał: *Jak on, u diachła, pianknie gra!* – wszyscy wybuchali śmiechem i co najwyżej robili sobie przerwę, by sięgnąć po szklaną lufkę

<sup>14</sup> Datę doprowadzenia elektryczności do wybudowań w Cekcynie, zapewne więc też do wybudowania Lubińsk, gdzie znajdowały się oba domy Bronusia i Helenki, podają za: Kalendarium..., dz. cyt.

<sup>15</sup> Historia Baški, <http://baska.kaszuby24.com/historia-baski/> [dostęp: 9.03.2014]; tekst oryginalny zapisuję w typograficznym uproszczeniu i nieco zmienionym układzie. Pomiąm sprawę niedawnej kodyfikacji zasad gry w *baškę* i przekształcenia jej w turniejową grę sportową. *Kop* jest grą o bliźniaczych regułach. W nim jedno ze zgłoszeń gry zapisywane jest jako *du*, nie zaś *doux*, co – nie będę ukrywał – lepiej brzmieniowo odpowiada temu, co zapamiętałem z żywej gry w *baškę*, por. <http://www.wolsztynski-kop.pl/zasady-gry/> [dostęp: 9.03.2014] oraz <http://karty-do-kopa.pl/tl/Strona-startowa.htm> [dostęp: 20.03.2014].

i delikatnie wcisnąć w nią aromatycznego skręta albo (to łatwiejsze) wyciągniętego z paczki sporta.

Baśka jest grą ekspresyjnej licytacji, czyli rajcowania, zmagania się deklarowanych sił, oraz pełnej emocji rozgrywki, czyli zręcznych przebić. „Podczas grania w *baškę* gracze nie skrywają emocji, [...] podczas kontrowania i przy udanej zagrze – [*bašce*] często towarzyszą okrzyki radości i uderzenia pięścią w stół [...]”. W nasz stół najmocniej podczas rajcowania walił dobrotliwy Bronuś, także pewien starszy sąsiad, którego nazwiska nie pamiętam, i oczywiście Maniek. W żadnym dostępnym mi dzisiaj opisie reguł gry w *baškę* nie znalazłem – wówczas niezwykle nas rozgrzewającej i niezmiennie rozśmieszającej – najwyższej, górującej nad wszystkimi i ostatecznej odzywki *Piłsudski na dachu*. Kto ją wymyślił i czy była – zrodzoną w tym gronie i nieupowszechniającą się dalej – kulturową innowacją? Być może w tamtych czasach lepiej komuś odpowiadała niż znane w *kopie*, również szczytowe i rozstrzygające, *wąsy Stalina*<sup>16</sup>.

Szczerze zaimponował mi Maniek któregoś lata swoim zaangażowaniem w *polterabend*. Bronusiowy brat, Leon, mieszkający w Gdańsku Oliwie, swoją córkę, chyba chrześnicę Helenki, wydawał za mąż: ślub miał być w sobotę w cekcyńskim kościele, a zaplanowane przynajmniej na dwa dni wesele (z poprawinami) u nich. Przez parę słonecznych dni składaliśmy na podwórzu parkiet z desek dla tańczących i pomost dla paru grajków. Szykowaliśmy się również – razem z młodymi – na nocne oczyszczanie ze szkła podjazdu pod udekorowaną bramę i miejsc pod płotem od strony drogi. Tam bowiem, zgodnie z przewidywaniami obu braci Borowiaków, miały się w piątek rozegrać wydarzenia należące do tutejszego zwyczaju. Najzagorzalszym ich uczestnikiem okazał się Maniek: *U jednych tamój to było kiedyś dycht do niczego, dla Halinki to musi być rychtyk zarzondzone*. Szkło tłukli więc przez dobre dwie godziny. Potem okłaskiwali pannę młodą próbującą zbierać rozbite szkło i pana młodego częstującego wódką.

Jako już całkiem dorośli, ruszaliśmy z Mańkiem w soboty – on wiedział, w które – na wiejskie zabawy. *Przyjechołeś? – Jo. Posiedzisz? – Jo. – No to jo!* (z szelmowskim uśmiechem i poklepywaniem mnie po plecach). – *Jo, jo!* (teraz ja, z ukontentowaniem i nadzieją na wspólne *rajzy*).

Pierwszy wypad okazał się, rzecz jasna, wyjątkowo ekscytujący. Maniek zapewnił mnie, że tutejsi traktują mnie jak swojego czy wręcz za swojego uważają, będę więc mógł brać dziewczyny do tańca, byle nic więcej. Odszykowani prawie jak do kościoła, na motorze Mańka wybraliśmy się gdzieś pod Brzozie. Zajechawszy do dużej chałupy pod lasem, dumnie – witając się po drodze ze stojącymi na podwórzu – wkroczyliśmy przez sień do środka. Z głębi dochodziły już dźwięki muzyki. Czekala na nas *wyrzchtowana* do tańca, opróżniona prawie

<sup>16</sup> Por. <http://karty-do-kopa.pl/tl/Szczeg%F3%26%23322%3By-gry-w-KOPA.htm> [dostęp: 20.03.2014].

ze wszystkiego, duża izba. *Bandziem hulać!* – zakrzyknął Maniek. Orkiestrę tworzył skupiony na graniu starszy mężczyzna. Siedział na krześle, przechylając się na wszystkie strony, w takt melodii wydobywanych z prostych skrzypiec. Nie trzeba mi było więcej podniet: polka, oberek, znów polka. Dziewczyny rzucające spojrzenia, uśmiechnięte, czekające. Obtańcowywałem wtedy jedną, znaną już wcześniej, z rodziny zbieraczy grzybów, bo mi się pod każdym względem podobala, a nade wszystko – jak te polki i oberki wywijają!

Sensacja z tanecznego zawrotu głowy wyłoniła się nagle. Skrzypce zaczęły grać coś innego, bardziej dostojnego. Maniek najpierw stęzał, znieruchomiał, potem głęboko się skłonił jakby przygotowanej na to dziewczynie i dał znak innym, by poszli w jego ślady. Tak poznałem borowiackiego *walcerka*. Skrzypce śpiewały w ekstatycznym uniesieniu, cała izba zgodnie wirowała. „W Borach Tucholskich – jak objaśnia Kuba Kopczyński – tańczono *walcerka*, spokrewnionego z niemieckim walcem, ale pozbawionego przez borowiackich muzykantów przedtaktów. Wykonywany był parami, wirowo, często w towarzystwie śpiewu”<sup>17</sup>.

Tu nikt prócz skrzypiec nie śpiewał. „Wśród innych tańców spotykanych w tym regionie wymienić możemy także *chodzonego* i *polkę*, które popularne były na terenie całego kraju, różniły się tylko lokalnymi wykonaniami. Borowiaczy wymieniają również *pod boram* oraz *franczka*”<sup>18</sup>. Tych innych tańców sobie nie przypominam, ani z tego, ani z żadnego późniejszego tanecznego wypadu z Mańkiem. Jemu w głowie tak naprawdę był tylko jeden taniec. Bo nic, jak twierdził, nie mogło równać się z *walcerkiem*.

### 3. Księżowskie wandry

W każdą niedzielę szło się gromadką do kościoła *na msza świąnta*. Droga była piaszczysta, z wydeptaną ścieżką po jednej stronie, wygodną dla idących pieszo, a bardziej jeszcze dla rowerów i motocykli (jako ulicę Kanałową – nazwa ta pojawiła się nie od razu – wyasfaltowano ją w październiku 2002 roku)<sup>19</sup>. Gdy z lewej minęło się brzęczące ule jednego sąsiada, a z prawej gospodarstwo innego, przylegające do tartaku, potem – znów z lewej strony – nieduży lasek, właściwie kępę kilkunastu wysokich sosen, do głównych zabudowań Cekcyzna było już całkiem blisko. Jeszcze trochę pod górkę i długim łukiem w lewo, na najważniejszą ulicę we wsi (drogą w prawo trafiało się, o ile pamiętam, do mleczarni i piekarni, a także na stację kolejową). Po ładnych paru krokach dochodziło się

<sup>17</sup> K. Kopczyński, Muzyka i taniec, <http://www.nasze.kujawsko-pomorskie.pl/Etnografia/bory-tucholskie/Muzyka-i-taniec.html> [dostęp: 23.02.2014].

<sup>18</sup> Tamże.

<sup>19</sup> Por. Kalendarium..., dz. cyt.

do miejsca, wyróżniającego się szczególnym połączeniem tego, co święte i tego, co świeckie: kościoła i ulokowanej naprzeciwko niego gospody GS. Układ ten – kościoła i gospody albo nawet paru gospód – starszy był tu jednak od znanych mi czasów i w istocie powtarzał typowy schemat przestrzenny. Jedną z tras wycieczek po Borach Tucholskich kierował Kazimierz Karasiewicz jeszcze w 1922 roku „do wielkiej wsi kościelnej Cekcyzna, gdzie jest kilka dobrych gospód”<sup>20</sup>.

Między kościołem a gospodą dokonywał się w niedzielę ruch wahadłowy: kto szedł do kościoła lub z niego wychodził trafiał często do gospody, i odwrotnie (ale rzadziej, bo najpierw wypić, a potem iść się modlić, było naruszeniem obyczaju i kończyło się nie dość że ludzkim obgadywaniem, to i czasem niezłym paternoster z ambony). Helenka i Bronuś kupowali mi po mszy jakieś słodczyce, najczęściej lody, bywało, że on jeszcze w gospodzie „na chwilę” zostawał, by z tym czy tamtym porozmawiać. Zaraz za gospodą stał – i wciąż stoi – nieco wyższy i potężniejszy ceglany budynek, z salą na parterze, w której odbywały się seanse kina objazdowego. Tuż za nim schodziło się – i wciąż się schodzi – szeroką ścieżką do jeziora: wspaniałego (to sporych rozmiarów i miejscami bardzo głębokie rynnowe jezioro polodowcowe) i niebezpiecznego, przyciągającego ludową wyobraźnię i pobudzającego swoją naturalną mocą do snucia „opowieści przerażających”.

Kościół nie utrwalił się zbyt dokładnie w mojej pamięci. Nie ma w niej nic prócz jego ogólnego widoku, z drogą wiodącą na Kruszkę – reszta złała się w jeden niezróżnicowany, uproszczony poznawczy obraz. Oglądam dziś przeto jego zdjęcia i doczytuję, najpierw u ks. Bolesława Makowskiego: „Więc powstają kościoły neoromańskie [...]. O wiele częściej jednak stosowany jest styl neogotycki; wymieńmy tylko kościoły lepsze, staranniejsze w projekcie i wykonaniu, i większe: w Lichnowach (1863) – nieproporcjonalnie wielki na małą parafię, z wysoką wieżą, w Raciążu (1866), Lipuszu (1867), Cekcynie (1870) [...]”<sup>21</sup>.

Następnie zaglądam do nieco obszerniejszego opisu u ks. Romualda Frydrychowicza: „Teraźniejszy kościół został między latami 1869–70 zbudowany i dnia 14 września 1870 przez delegata i prob. tucholskiego Kopala pod tytułem Znalezienia św. Krzyża poświęcony. Przed wojną posiadał kościół trzy dzwony, teraz jest tylko jeden, bo dwa większe zostały w czasie wojny zabrane. Pozostały dzwon ma napis: «Sancta Maria ora pro nobis. A. D. 1869». Ozdobę dzwonu stanowią 3 reliefy: 1. Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus. A. D. 1869. 2. Pan Jezus na krzyżu, a po obu stronach Matka Boska Bolesna i św. Jan Ew. 3. Św.

<sup>20</sup> Zaznaczał co prawda również obecność innych ważnych obiektów: „Stacja kolejowa w miejscu. Przy wsi mleczarnia spółkowa włościńska.”, K. Karasiewicz, Przewodnik po Borach Tucholskich z 7 mapami, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Warszawa 1922, s. 13.

<sup>21</sup> Ks. B. Makowski, Sztuka na Pomorzu. Jej dzieje i zabytki, Instytut Popierania Nauki – Kasa im. Mianowskiego, Toruń 1932, s. 215; ortografia oryginalna.

Paweł<sup>22</sup>. Znaczne ubytki – co czytam gdzie indziej – przyniosła II wojna światowa: „[...] parafia była bardzo zniszczona. Pociski artyleryjskie zrobiły wyrwy w murze. Eksplozje spowodowały częściowe lub całkowite zniszczenie okien. Naprawy wymagała wieża oraz dach<sup>23</sup>”.

W końcu biorę do ręki jeszcze inny tekst, dość wyczerpująco (i z fotografiami), lecz niestety niezbyt czytelnie informujący o tym, co kiedy tu w kościele było lub jest: „Kościół jest jednonawowy, bez kaplic. Posiada dwie kruchty i zakrystię. Strop jest drewniany. W kościele znajduje się ogółem 30 okien, w tym 9 witraży dywanowych. W tylnej części kościoła, 4 m nad posadzką znajduje się chór muzyczny, który został zbudowany w 1870 r. w stylu romańskim. Znajdują się tam 15-to głosowe organy. Ołtarz główny pochodzący z 1870 r. składał się z mensy i nastawy. Część dolna była wykonana ze sztucznego kamienia, nastawa wykonana była z drewna i ozdobiona ornamentacyjnymi figurkami. Prezbiterium zostało całkowicie przebudowane. Ołtarz główny został rozebrany. Figury i krzyż po odnowieniu umieszczono wysoko na ścianie nad bocznym wejściem. W centrum prezbiterium znajdują się wolno stojący ołtarz i ambonka wykonane z piaskowca. Ołtarz jest konsekrowany i jego portatium zawiera relikwie św. Męczenników Gaudentego i Inocentego<sup>24</sup>”.

Nie jest to – co źródła oficie potwierdzają – pierwszy kościół we wsi, dziś zresztą pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego. Odkryciem dla mnie było (ale pewnie tylko dla mnie), iż ks. Stanisław Kujot ponad sto lat temu sięgnął w swoich rozległych studiach do historii o wiele dawniejszej, średniowiecznej, by ustalić, kto i jak kościół tu wtedy zakładał. Okazało się ponadto, że po nim, całkiem współcześnie, dzieje cekcyńskiej parafii opisywali jeszcze inni badacze<sup>25</sup>.

Słabo pamiętam również, bo to wydarzenie jesienne (byłem już w szkole albo u progu nowego roku na uniwersytecie), parafialny odpust, przypadający na niedzielę po 14 września. W pamięć wryły mi się natomiast coniedzielne msze święte i odprawiający je ksiądz, wygłaszający z ambony – po odczytaniu sto-

<sup>22</sup> Ks. R. Frydrychowicz, Dzwony kościelne w diecezji chełmińskiej (dokończenie), „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1926, R. 33, s. 460–461; ortografia oryginalna.

<sup>23</sup> Kapłani [parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Cekcynie], [http://parafiacekczyn.pl/index.php?option=com\\_content&view=article&id=7&Itemid=107](http://parafiacekczyn.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=7&Itemid=107) [dostęp: 22.02.2014].

<sup>24</sup> Dzieje parafii Cekcyn, [http://parafiacekczyn.pl/index.php?option=com\\_content&view=article&id=6&Itemid=106](http://parafiacekczyn.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=6&Itemid=106) [dostęp: 22.02.2014], ortografia oryginalna, z jedną niezbędną drobną korektą.

<sup>25</sup> Ks. S. Kujot, Kto założył parafie w dzisiejszej diecezji chełmińskiej. Studium historyczne (z mapą), „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1902, R. 9, s. 57 (w tym miejscu autor mówi o Cekcynie Polskim), 67 (tu zaś o „Polskim Cekcynie (raczej Cieclocinie)”), 84 (tutaj po prostu o Cekcynie); podobne zapisy znaleźć można w drugiej części tej pracy: tegoż, Kto założył parafie..., „Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 1903, R. 10. Por. informacje, w tym bibliograficzne, zawarte w tekście: Dzieje parafii Cekcyn, dz. cyt.

sownej perykopy ewangelijnej (nauczył mnie tego wyrażenia) – porywające homilie, w tamtych czasach nazywane po prostu kazaniami. W nich, jeszcze jako małego dzieciaka (ale uformowanego przez przyjezuickie przedszkole), uderzało mnie, z mocą wypowiedane i nieswojo brzmiące słowo *ojcharystia*. Jakby poprzez utworzoną przez nie szczelinę spoglądałem odtąd na wspaniałą postać ksiądz Pawła Rynkowskiego. Nie on jeden stosował w Cekcynie niemiecki wzór wymowy sąsiadujących samogłosek (dlatego poznałem tam również *idejały*).

Cekcyński (od 1945 roku) ksiądz proboszcz urodził się – co wyszperałem dopiero teraz – w Duisburgu nad Renem, w Niemczech. „Od 1920 roku mieszkał w Wolentalu. W 1926 roku zdał maturę w gimnazjum w Starogardzie Gdańskim. W 1930 roku, po ukończeniu Seminarium Duchownego w Pelplinie, uzyskał święcenia kapłańskie. Pracował jako wikariusz w Szembruku, Zblewie, Tucholi. Przez okres okupacji hitlerowskiej ukrywał się”<sup>26</sup>.

Gdy się spotkałiśmy na dłuższej rozmowie, miałem go po prostu za tutejszego. –*Pamiętam tu księdza „od zawsze”* – powiedziałem. – *Ależ nie, nie zawsze tu byłem. Nie żebym odczuwał jakąś wanderlust, ale że tak Bóg dawał, a biskup nakazywał. To takie księżowskie wandry.* Nie wahał się używać słów „obcych”, gdy zorientował się, że je nieźle rozumiem. Podczas jednego z moich ostatnich pobytów w Cekcynie (byłem już na studiach) dowiedziałem się, że przed wojną pracował przez jakiś czas w Tucholi z „księdzem doktorem” i asystował mu przy wznoszeniu świątyni pw. Bożego Ciała. Rzeczywiście, u księdza Konstantyna Kreffta: „Kasę budowlaną prowadził wtedy ks. wikary Paweł Rynkowski”<sup>27</sup>.

Chyba ze względu na mnie, gdzieś między innymi opowieściami, pojawiła się w jego ustach wzmianka o księdzu Cyrylu Karczyńskim, który – na długo zanim tuż przed wojną nastał na probostwie cekcyńskim – zasłużył się jako zbieracz pieśni ludowych. Za namową ks. Stanisława Kujota, „podjął się pracy etnograficznej, co było zgodne z duchem tamtego czasu, gdy w Europie szerzyły się tendencje folklorystyczne i ludoznawcze.” W ten sposób „ocalił od zapomnienia teksty i melodie 152 pieśni ludowych z terenu swojej parafii” w Grzybnie, w powiecie chełmińskim<sup>28</sup>. Zapewne przez skromność ksiądz Paweł Rynkowski nie napomknął nawet, że jego oficjalne „Wspomnienie”, jako proboszcza cek-

<sup>26</sup> Cytuję za: <http://www.ppaczewo.pelplin.opoka.org.pl/kaplani.html> [dostęp: 22.02.2014], z moimi korektami typograficznymi. Wolental to wieś kociewska niedaleko parafialnego Pączewa.

<sup>27</sup> A. Węsierski, Ksiądz Krefft: przyszedłem, aby wybudować tak potrzebną świątynię, „Tygodnik Tucholski” z 20 lutego 2013, <http://tygodnik.pl/a/ksiazd-krefft-przyszedlem-aby-wybudowac-tak-potrze> [dostęp: 22.02.2014].

<sup>28</sup> W. Wielgoszewski, Kapłan rozmówiony w swojej małej ojczyźnie, „Tygodnik Katolicki Niedziela. Głos z Torunia” 2007, nr 27 (655) z 8 lipca 2007, <http://www.niedziela.diecezja.torun.pl/2007/0727/wielgoszewski.html> [dostęp: 9.06.2014].

cyńskiego, włączone zostało do dokumentacji procesu beatyfikacyjnego ks. Karczyńskiego i 104 innych „polskich męczenników, którzy oddali swoje życie za wiarę podczas niemieckiej okupacji”<sup>29</sup>.

Jakimi słowami opisać nasze, nieczęste przecież, ówczesne rozmowy? Ksiądz od nich nie stronił, zagadywał mnie nawet i do nich nakłaniał, głównie przy okazjach, jakie stwarzało zapraszanie Helenki na matkę chrzestną albo na ślub jakiejś chrześnicy czy jakiegoś chrześniaka (a miała ich wielu jako osoba ważna dla chłopów w powiecie). Nie okazywał wylewności, był zasadniczy, ale i ciepły. Urodzony i wychowany w Cekcynie ks. Franciszek Kamecki, poeta uświęconej pamięcią codzienności („Mój wujek Paweł miał kuźnię obok kościoła w Cekcynie”) wspomina, że „był człowiekiem z humorem”. A zaraz potem dodaje: „Dużo się modlił”<sup>30</sup>. W innym miejscu przyznaje się nawet: „Wierzyłem. że proboszcz ks. Paweł Rynkowski ma uśmiech od Boga”<sup>31</sup>.

Obaj *ksianża* traktują życie jako wędrówkę – stary, popularny topos ks. Kamecki rozwija jednak tak, iż słowem *wandry* określa nie ją tylko, lecz i życiowych wędrowców: „Wędrujemy. Idziemy. [...] Idzim (po borowiacku). My, wandry. [...] Przez bory i knieje. [...] Wędrówką jest życie człowieka”<sup>32</sup>. Czasem *wandry* idą parami, jak ksiądz Paweł Rynkowski i on sam, albo w większym gronie. Z ochotą dołączam więc do nich w tych wspomnieniach o moim (ale ich bardziej) Cekcynie. Niepokoi mnie jedynie, dlaczego nigdy w Cekcynie nie trafiłem na małego, ledwie parę lat starszego ode mnie Franka. A może trafiłem, ale *nie pamnientom*? Bo czyż nie widziałem go, gdy służył tam do mszy świętej jako ministrant? Chyba że czynił to wyłącznie na rannych mszach: „Jako ministrant od 6. roku życia na 6.30 biegłem do kościoła, aby podczas mszy św. podawać wino i wodę, dzwonić, dumnie odpowiadać księdzu po łacinie, nie znając tego języka”<sup>33</sup>. Z ochotą do nich dołączam i – jak mam się z Frankiem nie zgo-

<sup>29</sup> Tamże. Informację o tym „Wspomnieniu” podają za: ks. W. Mazurowski, Życie i śmierć męczenników przykładem wierności Bogu, przypis 43, [http://meczennicy.pelplin.pl/t\\_pliki\\_/1.doc](http://meczennicy.pelplin.pl/t_pliki_/1.doc) [dostęp: 2.03.2014].

<sup>30</sup> F. Kamecki, Borowiackie językowanie (II), Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2011, s. 39. Fragment dotyczący kuźni pochodzi z felietonu tegoż, Dostajemy baty z 2003 roku, <http://www.ewangelizacja.net/?ac=ar&idM=61&idA=54> [dostęp: 02.03.2014]. Zdanie, iż ks. Kamecki „pisze o rzeczach, sprawach bardzo zwyczajnych, prozaicznych, jednak uświęconych pamięcią «krainy dzieciństwa»”, wypowiedziała M. Pająkowska-Kensik w pracy O udziale księży w kociewskim żniwie, „Język – szkoła – religia” 2012, R. VII, nr 1, s. 186.

<sup>31</sup> F. Kamecki, Kogo słuchałem?, felieton z drukowanego w dwutygodniku „Pielgrzym” cyklu Drabiną do nieba, <http://www.ewangelizacja.net/?ac=ar&idM=60&idA=1477> [dostęp: 02.03.2014].

<sup>32</sup> F. Kamecki, Podróże i przystanki. 25 felietonów, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2010, s. 71.

<sup>33</sup> F. Kamecki, Borowiackie językowanie (II), tamże.



dzić? – „wspominam tamte chwile tak jakoby ktoś palcem trącał strunę wiolonczeli, która nie chce leżeć daremnie na tapczanie”<sup>34</sup>.

## Summary

The article contains, besides the introduction, three micro-narratives based on my personal memory of the village Cekcyn in the Tuchola Forest (Bory Tucholskie) – the memory of the place, but also of the people, their dialect and some other features of their regional culture. Each of the micro-narratives has a form of an autobiographical fragment (in the sense similar to that of a deliberately undeveloped literary fragment) in which my memory is complemented by the ethnographic details taken from sources and research reports as well as by more general anthropological concepts.

---

<sup>34</sup> Tamże, s. 34–35.